

Macierz Polska.

Tygodnik ilustrowany dla dzieci i młodzieży

NR. 24.

CHICAGO, 13-go CZERWCA (JUNE 13-th), 1907.

ROK (Year) VIII

ENTERED AT CHICAGO, ILL., POST OFFICE AS SECOND CLASS MATTER



WŚRÓD KWIECIA.

Polowanie na bawoły.

(Henryk Sienkiewicz.)

(Ciąg dalszy).

Początkowo kłusując, następnie jadąc, co koń wyskoczy, przez zapdłe dosyć wgłębienie, oddzielające nas od wzgórza, wkrótce znaleźliśmy się na jego szczycie. Jakież było moje zdziwienie, gdym obejrawszy się dokoła, nie ujrzał żywej duszy. Napróżno oglądałem się, napróżno przepatrywałem krzaki i zarośla: nigdzie żadnego żywego stworzenia. Pomyslałem, że metysowie zwiedli mnie; zwróciwszy się więc do Bulla powiedziałem mu ostro, że, jeśli miał zamiar żartować sobie ze mnie, może źle wyjść na tem. Ale Bull przysięgał się na wszystko, że widział Indyanina. Smith zaś potwierdzał jego słowa. Wkrótce też wynaleźli ślady i pokazali mi je dotykalnie, następnie zaś, obejrawszy grunt, odgadliśmy łatwo, co się stało. Druga strona wzgórza była pęknięta na dwoje. Pęknięcie owo stanowiło głęboką wyrwę, idącą daleko w step w kierunku wschodnim i ginącą w dali u stóp gór. Dno jej pokryte było nieprzebitą gęstwiną wierzb i innych krzaków, w które Indyanin łatwo mógł się ukryć i uciec.

Ściągać go było niepodobieństwem. To jednak pojawienie się czerwonego wojownika i zagadkowe jego zniknięcie zaniepokoiło mnie, a przynajmniej dało mi do myślenia. Indyanie wiedzieli już o nas, było to pewnem, ale skądże to dziwaczne ich postępowanie? Wszakże, wedle upewnień Mac Lella, mieli nam dać przewodników przy Medicina River i polować na bawoły razem z nami. Przepelniony temi myślami, wróciłem do karawany. Zastałem obóz już zaalarmowany. „Lewa ręka”, który chodził na polowanie na drugi brzeg Północnych Wieleń, i który, mówiąc nawiasem, zabił ogromną antylopę, widział także dwóch konnych wojowników, którzy, tak samo jak nasz, pojawili się i znikli. Woothrup złożył radę wojenną przy ognisku, do której i mnie zaprosił. Pogląd starego Mańkuta wydał mi się najtrafniejszy. Nie wątpił on, że Mac Lell ostrzegł Indyan, nie miał bowiem żadnego powodu tego nie czynić. Nie wątpił również, że obozowi nie zagraża zbrojny napad, ale zachodziła następująca okoliczność: jakkolwiek najprawdopodobniej wojownicy, których widzieliśmy, należeli do Utów, na stepie jednak mogły także znajdować się zabłąkane oddziały innych pokoleń. „Prawdopodobnie ich niema — mówił stary strzelec — ale Utowie będą się starali wyciągnąć z tego korzyść. Jeżeli w nocy wykonają „stamped” i pokradną nam nasze muły, drugiego dnia, udając, że o niczem nie wiedzą, przyślą nam eskortę, będą nawet nam pomagali w odszukiwaniu straty, przed Mac Lellem

zaś wytlómaczą się tem, że to nie oni, ale wojownicy innego jakiegos pokolenia, dopuścili się grabieży”. Krótko mówiąc: podług widzenia rzeczy starego strzelca, mogliśmy być pewni, że nasi przyszli sprzymierzeńcy, jeśli będą nas mogli okraść bezkarnie, to, pomimo wszelkich rekomendacyi komisarskich, okradną nas niezawodnie. Skutkiem tego postanowiliśmy się mieć na baczności. Straże obozowe i przy stadzie miały być zdwojone i czuwać staranniej, niż to czyniliśmy pierwszej nocy. Przytem, ruszyliśmy natychmiast naprzód, aby na nocleg wybrać miejsce, na któremby postój stada mógł się odbywać, o ile można, blisko wozów. Niezwykłe ożywienie opanowało teraz cały obóz. Towarzysze nasi, którzy drugiego i trzeciego dnia poczeli się już zniechęcać i nużyć, opatrywali teraz broń, kręcili się na wszystkie strony, pokrzykując na siebie wzajemnie lub strasząc się żartobliwie czerwonymi. Byli tacy, którzy utrzymywali że cały ten alarm jest to „humbug”, ale ci właśnie, a między innymi i Ward, idąc śladem naszych metysów, życzyli sobie, lubo z innych powodów, „stampedu”, jako dobrej sposobności do rozrywki i nocnej na wiatr strzelaniny,

We cztery godziny potem stanęliśmy na nocleg; przedtem jednak jeszcze straciliśmy jednego muła, który upadł przy przeprawie przez strumień tak nieszczęśliwie, że złamał nogę. Trzeba go było wyprządz i zastąpić innym, tym czasem, ponieważ wśród nocy i tak stałby się pastwą zwierząt, mullnik zabił go, wyładowawszy mu cały rewolwer w ucho. Na nocleg stanęliśmy opodal od przybrzeżnych zarośli, muły zaś poprzywiązywaliśmy niedaleko od wozów gdzie trawa nie rosła wprawdzie zbyt obficie, ale gdzie były zabezpieczone przed „stampedem.”

Z polecenia Woothrupa, miałem czuwać nad strażami, pilnującemi stada, przejeżdżałem więc na koniu całą noc. Co pół godziny jeździłem od placówki do placówki, pytając, czy wszystko idzie dobrze, i zawsze odbierałem stałą odpowiedź: „all right!” O północy zluzowałem strażę, a następnie zmieniłem je jeszcze raz o pół do czwartej, ponieważ zimno mocno dawało się we znaki. Strażnikom przykrzyła się widocznie moja zbytnia gorliwość w nawoływaniu, zauważyłem bowiem, że, gdym zbliżył się do jednego z nich i zawołałem: „All right!”, rozbudzony może z drzemki, która poczynała go ogarniać, odkrzyknął głosem: „All right!” ciszej zaś rzucił mi przekleństwo. Udałem, że tego niesłyszę, inaczej bowiem, wypadłoby mi wyzwać nazajutrz strażnika na pięście, i, albo go obić, albo zostać przez niego obitym. Czasami oddalałem się w step i o pół mili i więcej, i w tym promieniu objeżdżałem cały obóz. Wszędzie było spokojnie i cicho; słyszałem tylko wilki, wyjące na drodze.

którą przejechaliśmy przed noclegiem zebrane zapewne nad trupem naszego muła; raz jednak w ciemnościach dostrzegłem zbliżającego się konia i jeźdźca. Chwyciłem natychmiast za karabin, chcąc strzelić na alarm, ale był to Woothrup, który także wyjechał był na zwiady, Noc cała przeszła bez wypadku. Świtaniem, gdy większa część towarzyszków wyszła była już z obozu z blaszankami pu wodę, zsiadłem z konia i położyłem się spać. Przespałem się aż do lunchu. Gdym się obudziłem, towarzysze powiedzieli mi, że ani przewodnicy, ani „Le-wa Ręka” nie odkryli nigdzie śladu Indyan, że wszystko idzie po dawnemu, że nad ranem, wyruszywszy w drogę, zabili wilka, a widzieli stado antylop i ślady bawołów nad rzeką, niebardzo jeszcze stare. Jechaliśmy dalej spokojnie. Nad wieczorem znów znaleziono ślady bawołów, które tym razem sam oglądałem. Wytłoczenie potężnych racic w mule nadbrzeżnym przechowało się doskonale, zwłaszcza, że woda na rzece była niską i muł stwardniał. Ale właśnie z twardości mułu wnosilem, iż nie były tak świeże, jak sądzono. Wjeżdżaliśmy jednak widocznie w okolicę, obfitującą w zwierzyne, co można było poznać z wielkiej ilości antylop. Następnej nocy zachowaliśmy też same ostrożności, jak poprzedniej; nic jednak nie zaszło godnego uwagi. Nazajutrz, około godziny ósmej rano, stary strzelec, który świtaniem wyszedł był na zwiady i dopiero co powrócił, zbliżywszy się domnie, szepnął z cicha, abym udał się zanim, Wyjechaliśmy obaj z obozu konno. Kanion, który od kilku dni zwęzał się coraz bardziej, nie był w tem miejscu szerszy, niż na sześć do ośmiu mil angielskich; wkrótce więc dojechaliśmy do gór. Przez drogę wypytywałem starego dlaczego mnie wezwał, ale nie chciał mi dać żadnych wyjaśnień. Zatrzymaliśmy się u wejścia do jednego z bocznych kanionów. Tu stary strzelec zsiadł z konia i mnie kazał to uczynić, a następnie, odprowadziwszy konie, ukrył je w rozpadlinie gruntu, porośniętej krzewiną. — Teraz musimy pójść piechotą — rzekł do mnie. — A konie? — spytałem. — Nic im się tu nie stanie. — Poszliśmy. Wąskie gardło bocznego kanionu prowadziło nas w głąb gór. Gardło to jednak rozszerzało się stopniowo coraz więcej. Przy samem wyjściu stary zatrzymał mnie: — „I will show you something — (Chcę panu coś pokazać) — rzekł. — Co? — Buffalo! Serce zabiło mi z radości. — Teraz musimy się rozłączyć — rzekł. Idź pan na lewo, ja pójdę w prawo. Wyszedszy na polankę, czołgnij się w zaroślach, póki się nie doczołgniesz, potem szelaj, ale nie pokazuj się po strzale. Rozstaliśmy się. Po kilkudziesięciu jeszcze krokach, kanion rozszerzył się nagle w polankę, której brzegi pokryte były zaroślami, środkiem zaś ciągnęła się łąka, przez którą przepływał mały strumień.

(Ciąg dalszy nastąpi).

SOBÓTKI.

Już pokryły krople rosy
 Łąki, gaje, łąn...
 Tam na wzgórzach płoną stosy,
 Lecą iskry pod niebiosy,
 Jutro — Święty Jan,
 Żywo w tan! z całego sioda!
 Boć to krótka noc,
 Wiosna kończy się wesoła,
 I do pracy lato woła,
 A tej pracy moc!
 Bo tej nocy, mówią starzy,
 Dziwów pełen świat:
 Stary dąb z sosnami gwarzy,
 Tysiąc się robaczków żarzy,
 Jak okienka chat.
 Bo tej nocy, którą złoci
 Blask słonecznych zórz,
 W wodach — tłum rusałek psoci,
 W lasach — kwitnie kwiat paproci,
 Skrytych skarbów stróż.
 W dawnych czasach z przed tysiąca,
 Z przed tysiąca lat,
 W cześć Kupały, bożka słońca,
 Szła w tę noc zabawa wrząca
 Każdy płasał rad.
 A choć chrzest prawdziwej wiary
 Błąd pogaństwa zmył,
 Lud obyczaj ceni stary,
 I przez noc tę skoczne pary
 Bawią się, co sił!
 Rano pójdę do roboty
 Ze słoneczkiem tuż,
 I na łąki, gdzie traw sploty,
 I na pola, gdzie łąn złoty
 Naszych skarbów — zbóż.
 Już pokryły krople rosy
 Łąki, gaje łąn...
 Tam na wzgórzach płoną stosy,
 Lecą iskry pod niebiosy,
 Dalej! chodźmy w tan!

M. B.

ZAGADKOWA BAJKA.

Czarownik zamienił trzy dziewczęta w kwiaty polne i jednej z nich pozwolił udawać się w nocy do domu. Jednego razu nad ranem owa dziewczyna, gdy już miała wrócić na pole, aby się znowu zamienić w kwiat, rzekła do brata.

— Jeżeli jutro przed południem przyjdiesz na pole i zerwiesz mnie, będę wybawiona od czarów i będę znowu żyć na świecie, jak dawniej.

Tak też się stało. Brat zerwał kwiat, w który była zamieniona jego siostra. Ale jak on poznał, że właśnie ten, a nie inny kwiatek miał zerwać?



PRZYGODA Z CYLINDREM.

CUDOWNA LATARNIA.

(Opowiadanie starego rybaka.)

W czasie mojej podróży po Bretonii, przypadkiem spotkałem starego rybaka siedzącego nad brzegiem morza i wpatrzzonego w siną jego dal.

— Dzień dobry panie Born — rzekłem, chcąc z nim nawiązać rozmowę — piękny Pan Bóg dał dzień.

— Dzień dobry panu — odpowiedział rybak, wyjmując krótką fajeczkę. — Tak ładny dzień, choć na połów nie bardzo dobry.

— O czym tak pan myślał? — zapytałem.

— O dawnych, starych a dobrych czasach, — odpowiedział, wzdychając. — Widzisz pan tę oto latarnię morską, właśnie o niej, a raczej o jej historii postawienia przed chwilą myślałem.

Widząc ochotę do gawędy u starego rybaka i spodziewając się jekiejś ciekawej historii, dotyczącej opodał na skałę stojącej latarni, zapytałem:

— Zapewne ciekawa to musi być ta historia postawienia owej latarni, może mi ją pan opowie.

— Jeżeli pan chce słuchać, to i owszem.

Tu stary rybak obrócił fajeczkę w ustach usadowił się wygodniej i rozpoczął:

— Dawno to temu, ot tam, gdzie stoi latarnia mieszkał sobie poczciwy Ramin z małą swą wnuczką Emanuelą. Był on rybakiem, jak wszyscy tutejsi mieszkańcy. Emanuelę kochał i troszczył się o nią, jak o źrenicę oka. Dzieweczka była piękna, wesoła jak ptaszę, szczebiotem swoim umiała i rozweselała stare dni dzidusia. Bywało, gdy dzień piękny, stary Ramin zabierał małą swą wnuczkę na łódź i puszczał się na morze, Emanuela, siedząc na jednej ławeczce z dziadkiem chwyciła za wiosło, którego drobne jej rączęta objąć nie mogły, i pomagała wiosłować. Cieszyło to ją bardzo, a niemniej i starego Ramina.

Dziecko stepu i morza kochała jednak oboje i aby się do nich uśmiechać, wchodziła na skałę, na której dziś ta latarnia stoi. Kiedy inne jej rówieśniczki wesoło się zabawiały, ona stawała na szczyście zamyślona i poważna, obejmując okiem nieskończoną dal ziemi i morza, a towarzyszyły jej tylko jęki wiatru i nieruchome postacie Kalwaryi, które się znajdowały na skałę. Ojciec mój znał tę kalwaryę. Był tam Pan Jezus na krzyżu, u stóp Jego Najśw. Marya Panna i św. Jan. Wszystkie figury wyrzeźbione były z drzewa dębowego i pomalowane żywymi farbami, które starannie co rok odnawiano. Kolory były tak żywe, że dziecinna i naiwna Emanuela doznała pewnego dnia złudzenia. Wszedłszy z dziadkiem na skałę i spostrzegłszy czerwoną ranę w boku Chrystusa, wyobraziła sobie, że z niej się prawdziwa krew Zbawiciela sączy, i chciała ją

koniecznie obetrzeć, aby uzdrowić Bożę, jak powiedziała dziadkowi.

Stary Ramin musiał ją podnieść, aby mogła dotrzeć rany. Musiała już myśleć o tem poprzednio, bo podniesiona przez dziadka, wyciągnęła nową i ładną chusteczkę, którą przycisnęła do boku i ocierała ranę.

Dzieciństwo to, mój panie, opowiadał dalej stary rybak, dzieciństwo prawda, ale dobry Bóg w niebieskim rejestrze porachował ten dziecinny uczynek, który odkrył miłosierną i litościwą duszę w dzieweczce. Bo, proszę pana — cóż innego uczyniła ta, którą czcimy pod imieniem św. Weroniki? To też jak tamtą, tak i tę Bóg wynagrodził cudownie, a jak kiedy to czynił, to się zaraz pokaże.

Od tego czasu mnięło lat kilka. Emanuela podrosła, Kalwaryę codziennie odwiedzała, a choć już rany nie ocierała, ale za to przy każdym odwiedzeniu przystrajała figurę świeżymi kwiatami.

Było to jakoś po Wielkiejnocy stary Ramin i inni wybrali się na morze.

W powietrzu panowała zupełna cisza. Słońce ukryte za chmurami nie świeciło a pomimo to blask nieba raził oczy. Morze nawet nie pluskało, a wiatru ani na lekarstwo.

Ludzie zaczęli niespokojnie spoglądać na morze. Było ono ciągle spokojne i jakby leniwe, tylko z białego zrobiło się siwe, a w dali unosiła się mgła, zasłaniająca widnokrąg i przesuwająca po niebie popielatą linię. W powietrzu słychać było wrzask latających i kołujących mew.

Wyraz burza w jednej chwili znalazł się na ustach nadbrzeżnych mieszkańców.

U portu kobiety zaczęły szeptać bojaźliwie między sobą. Staruszki składały druty i wychodziły na próg domów, szepcząc pacierze. Oczy wszystkich zwróciły się na niebo i na morze. Niebo w tej chwili całe pokryte było popielatą mgłą. Rybacy wracali z rozwiniętymi żaglami, a po wysiłkach ich i pośpiechu poznać było można, jak pilno im było znaleźć się na lądzie.

Wśród oczekujących na brzegu znalazła się też cała przestraszona i niespokojna o dziadka Emanuela. Najomni próbowali ją uspokoić, zapewniając, że burza nie przyjdzie wcześniej jak kiedy w nocy, a dziadek lada chwilę przypłyynie.

Łodzie jedna po drugiej wracały, ale łódź starego Ramina wraz z dwoma jego towarzyszami nie nadpływała.

Robiło się coraz ciemniej. Czarne, ołowiane chmury pokrywały niebo, wiatr zerwał się i już burzył morze. Przeliczono przybyłych rybaków; okazało się, że są wszyscy oprócz starego Ramina i dwóch jego towarzyszy, ludzi młodych i silnych a odważnych. Mieli nadzieję, że opóźnieni przed nocą i przed burzą zdążą do portu.

Nagle zerwał się wichur, prawdziwy huragan, i nastąpiła noc.

Ta noc zdawała się być końcem świata, i każdy swą duszę Bogu polecał. Dziś nawet boją się o niej wspominać, bo przestraszyli ojców w synach się jeszcze odzywa.

Ni morza ni nieba: wszystko w ciemnościach pogrążone. Błyskawice tylko ukazywały w całej grozie białe pieniające się, na sto stóp wysokie, jakby przez duchy piekielne smagane fale, które z takim łoskotem rozbijały się o skały, że pasterze z krańców stepu uciekali.

Wyciu trąby powietrznej, odgłosem fal uderzających o skałę odpowiadało głucho staczanie się skały, która oddawna podmywana, tej nocy w końcu z łoskotem i hukiem runęła do spienionego morza.

W przystani z wielką trudnością zdołano zapalić ogień. Litość brała patrzeć na skuloną gromadę

mieniało. A jednak oczy mi mgłą zachodzą, gdy wsomnę o łzach, które mi to dziecko oblewało stopy Chrystusowe, o tym biednym, słabym a błagalnym głosiku, mieszającym się ze strasznym wyciem huraganu i błagającym o ocalenie ukochanego dziecka. . . .

Nikt nie wiedział, gdzie Emanuela pobiegła.

O ocaleniu zapóźnionych wszyscy już zwątpili i poczęli się modlić za ich dusze.

Tak upłynęło sporo czasu.

Ogień zaczął przygasać. Burza też już się zmniejszała.

Nagle do uszu stojących doleciały słowa:

— Pomóżcie dopłynąć! . . .

Był to głos starego Ramina.

Za chwilę przy pomocy udzielonej z brzegu łódź szczęśliwie dopłynęła i ocaleni jej posiadacze wysiedli na brzeg.



Emanuela . . . pomagała wiosłować . . .

ludzi bezsilnych w obec strasznego i rozszalałego żywiołu

Zguba łodzi, na której był Ramin, zdała się, po ludzku sądząc, nieuchronną. Gdyby nawet wytrzymała straszny napór fal, to musiała się ona rozbić o kamienisty brzeg.

Zapłakana Emanuela nagle opuściła zebranych na brzegu i pędem uciekła.

Smagana deszczem, pchana wiatrem, biegła i biegła w ciemnościach. Wiele razy upadała i podnosiła się, aż na pół żywa dobiegła wreszcie do Kalwaryi i upadając u stóp krzyża z całej siły objęła rękami nogi Zbawiciela.

Życie, mój panie, uczyniło mnie twardym, jak kamień, mówił dalej stary rybak, skórę mam twardą jak rekin, a zdaje mi się, że i serce moje ska-

Stary Ramin nic nie mówiąc nikomu, ani nie opowiadając przygód tej strasnej nocy jak cień przesunął się wśród zgromadzonych i szybko skierował się w tę samą stronę, w którą przedtem pobiegła jego wnuczka: poszedł na kalwaryę, gdzie pod krzyżem zastał klęczącą Emanuelle.

W porcie zaś jeden z towarzyszy Ramina opowiedział zdumionym słuchaczom, w jaki sposób ocaleni.

Gdy byli na morzu, opowiadał, i gdy spostrzegli, że się zanosi na burzę postanowili za innymi wrócić. Nie zdążyli atoli tego uczynić. Wnet zaskoczyła ich straszna burza i ciemności. Otóż w chwili, kiedy huragan najbardziej szalał i gdy stary sternik stracił nadzieję ocalenia, nagle ujrzął jakąś większą światłość pochodzącą od lądu. Cudowne

to światło tryskało tylko z jednego punktu skały i dla niego tylko było widzialne, gdyż oni dwaj nie mogli dojrzeć, choć z największym wyteżeniem wpatrywali się w tę stronę, skąd światło według mowy starego Ramina miało się znajdować. Wtemczas Ramin ujął za ruderę i kierował łodzią wprost na to tajemnicze światło i temu tylko zawdzięczają, że się nie rozbili o skały i szczęśliwie dopłynęli.

Przy końcu opowiadania nadszedł stary Ramin z wnuczką i potwierdził opowiadanie młodszego towarzysza, dodając jeszcze to, że Emanuela tak samo widziała cudowne światło, które wychodziło z rany z boku Zbawiciela, z tej właśnie rany, którą niegdyś w dzieciństwie chusteczką z litości otarła. Na tę pamiątkę cudownego światła postawiliśmy tę latarnię, skończył swe opowiadanie stary rybak.

CHART I DWA ZAJĄCE.

Przysłowie mówi: "Lepszy wróbel w ręku niż dzięcioł na sęku." Razu jednego pędził chart za młodym zajęcem. Zajęczek umykał, ile tylko mu sił starczyło; ale chart także wyciągał się w biegu jak struna; przytuliwszy uszy do głowy, pędził za biednym szaraczkiem. Już miał go pochwycić, gdy wtem wyskakuje z pod miedzy stary duży zajac.

— Hola! — pomyślał sobie chart — wolę tego, bo większy i tłusciejszy, będzie się czem uczciwie posilić.

I porzuciwszy młodego, dalej w pogoń za starym.

Ale źle wyszedł na tej zamianie. Zmęczony poprzednią pogonią, nie miał już dość sił, aby starego i obrotnego zajacą dopędzić. Niedaleko były zarosła, a tuż za niemi gęsty las. Zajac, czując się w lesie jak w domu, czemprędzej tam umknął i uszedł śmierci szczęśliwie.

Dla charta dogodne jest pole gładkie, a nie zarosła i gęsty las, gdzie mógłby, biegnąc szybko, rozbić się o drzewo. Dał więc za wygraną i poszedł szukać owego młodego zajęczka, którego pierwój gonił. Ale ten na niego nie czekał i schronił się bezpiecznie do lasu.

Uznojony i zawstydzony chart stanął przed lasem i zaczął rozmyślać nad swą przygodą.

— Dobrze mi tak — mówił sam do siebie — nie chciałem zadowolić się tem, co już miałem prawie pewne, a tak nic nie dostałem.

RÓŻA.

W dużym salonie stały rozmaite kwiaty: prześliczne palmy, kwitnące azalie, a między niemi, okryta przepyszcznym purpurowym kwieciami, stała róża w wazonie z drogiej porcelany. Niestety, pewnego dnia, figlarna małpka, wypuszczona z klatki,

wpadła między kwiaty i zrzuciła wazon na ziemię, łamiąc różę i tłukąc wazon w drobne kawałki. Małpka została za to ukarana, a różę wyrzucono na śmietnik, jako rzecz zbyteczną. Leżała tam dosyć długo więdnąc powoli, chociaż korzonki miała zupełnie zdrowe. Wtem mała Józia, przechodząc przez podwórze, dostrzegła ją i zatrzymała się, biorąc zniszczony kwiat do ręki. Ponieważ lubiła bardzo kwiaty i miała u siebie kilka skromnych doniczek, więc zabrała i tę złamaną różę. Zajęła się zaraz pielęgnowaniem, wsadziła ją w doniczkę, obcięła połamane gałązki i codziennie starannie podlewała.

Na razie smuciła się widokiem wciąż suchych gałązek, aż powoli roślina zaczęła wypuszczać z siebie pędy, młode listeczki i wreszcie okryła się cała bujnemi liśćmi i pączkami.

Józia nie posiadała się z radości, widząc różę powracającą do życia. Radość jej była jeszcze większą, gdy pewnego dnia spostrzegła na gałązkach małe pączuszki, które wkrótce rozwinęły się w śliczne purpurowe różę.

Jednego dnia Józia spotkała Jasią, braciszka Marysi, z którą się zawsze bawiła; ten opowiedział jej, że Marysia się przeziębiła, teraz jest ciężko chora i pewnie długo poleży w łóżku. Józia kochała bardzo swą towarzyszkę zabaw, więc strapiona, wzięła swą różę i zaniósła chorej dziewczynce, która leżała bledziuchna na swem łóżeczku.

Marysia słabym uśmiechem podziękowała Józii, ta zaś cieszyła się niezmiernie, że przez swą troskliwość i pielęgnowanie róży, mogła zrobić przyjemność biednej chorej.

NOC.

Pochyliły się drzew wierzchy,
Długi pobiegł szmer:
Srebrne światła, ciche zmierzchy
Z górnych płyną sfer...

To nad gaje
Księżyc wstaje,
Jasną wznosi twarz...
Dzwonią fale,
Szepcą gaje:

Witaj królu nasz!

Ciszą, pieśnią ziemia wita
Oblubieńca wschód;
Muślinami mgieł spowita
Wzdycha głębia wód
Hen daleko.

Szmerów rzeką
Płynie gędzba traw.
Drgają światła...
Hen — daleko...
Gra szelestem staw.

Kazimierz Gliński.

MACIERZ POLSKATYGODNIK POWIEŚCIOWO ILLUSTROWANY
DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

wychodzi co czwartek, kaźd-gu tygodnia

Adres redakcyi: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOISPrenumerata roczna wynosi \$1.00. — Po edynczy numer 3 centy
lub miesięcznie 10 ctAdres administracyi: **MACIERZ POLSKA,**
141-143 W. DIVISION STREET. CHICAGO, ILL.**MACIERZ POLSKA****AN ILLUSTRATED WEEKLY FOR CHILDREN AND YOUNG PEOPLE**
Issued at Chicago ev-ry Thursday.Editor's address: **MACIERZ POLSKA,**
81 INGRAHAM STREET, CHICAGO, ILLINOIS

Subscription \$1.00 a year or 10 cents a month Single copy 3 cents

Address of Business Office:

THE POLISH PUBLISHING CO.

Publishers of

MACIERZ POLSKA**141-143 WEST DIVISION STREET, CHICAGO, ILLINOIS****JAK DZIECI BAWIŁY SIĘ W PTASZKI.**Kaźda dziewczynka narysowała ptaszka i po-
wiedziała o nim odpowiedni wierszyk:**Kazia.**Miła jaskółko, ty tak radośnie,
Ptasią piosnkę nucisz o wiośnie!
Pod polską strzechą lepsz gniazdeczko
Czasem zaglądasz przez okieneczko.**Zosia.**Krzykliwa sroka, to jak niewiasta,
Co gdy powróci z zakupnem z miasta,
Sąsiadkom swoim coś opowiada,
I nic nie robi jeno wciąż gada.**Józia:**Ja lubię kaczę, co po wodzie pływa
Małe robaczki stamtąd dobywa,
Kwa, kwa, kwa woła na swoje dzieci
I całe stadko do wody leci,**Jadzia:**Lubię słowika, co w cichym lesie,
Ptasią modlitwę do Boga niesie,
On swą piosenką daje Bogu chwałę
Ranki, wieczory, czasem noce całe.**Anulka:**Ja lubię kurę, bo niesie jajeczka,
Które na obiad smaży maticzka,
Z tych jaj wesołe kurczątko bywają,
Gdy upieczone, smacznie się zjadają.**Janinka:**Nie lubię sowy, co hu, hu, hu krzyczy
Po nocach szuka sobie zdobyczy,
I nie zna ona wcale litości
Małe ptaszyny, chwytą ze złości.**Kasia:**Mała przepiórka „pójdźcie żać!” woła,
Kiedy już zboże dojrzałe dokoła,
Ona pilnuje na polu chleba,
Więc tę ptaszynę lubić potrzeba.**Andzia:**Nie lubię kruka, bo czarny, smutny,
Nie umie śpiewać, a tak okrutny,
Że po potopie ciała pożerał,
Zawsze ponury, nigdy nie śpiewał.**Basia:**Pyszne go pawia też nikt nie lubi,
Bo on z ogona swego się chlubi,
To jak dziewczynka na to ubrana,
Żeby od wszystkich była podziwiana,
Strojów zbyt-kownych unikać trzeba,
One dziewczynki nie wiodą do nieba,
Ale gdyś czysto i skromnie ubrana,
Wtedy wyglądasz jak róża rumiana.**Wszystkie dzieci razem:**Bardzo lubimy wróbla szarego,
Przyjaciela zawsze nam wiernego,
On i na zimę z nami zostaje,
Choć chłodu, głodu nieraz doznaje,**S. Helena, C. R.****KTO JEST PRÓŻNIAKIEM?**Mało kto zapewne zastanawiał się nad tem, co
to jest być próżniakiem?Jest nim nie tylko ten, który nic nie robi, ale i
ten, co niby jest zajęty, a jednak czas spędza bez
żadnego pożytku.Kto tak sobie siedzi nad książką i niby ją czy-
ta, a myśli o czem innem, kręci się na krzeselku,
głowę wspiera raz na prawej, drugi raz na lewej
ręce, wzdycha, rzuca oczami, to w tę, to w ową
stronę, to próżniak.Kto rano, zamiast umyć się, uczesać, ubrać po-
śpiesznie, chodzi z kąta w kąt, narzeka, nudzi się,
grymasi i drogi czas marnuje: to także próżniak.Kto nie zważa na to, że ubranie ma pobrudzo-
ne, poprute, buciki niewyczyszczone, że tu braku-
je guzika, tam pętelki; kaźda dziewczynka, która
może sama sobie to wszystko zrobić i naprawić, a
chłopczyk poprosić, by mu ubranie doprowadzić do
porządku, jeżeli tego nie uczyni, to jest próżnia-
kiem!Kto, wysłany z jakim poleceniem przez star-
szych, zamiast śpiesznie tego dopełnić, wlecze się
jak ślimak, a czasem i mruży coś, narzekając na
robotę: to dopiero próżniak!I tak dalej i tak dalej; tysiące można przyto-
czyć przykładów, ażeby przekonać, że choć kto po-
zornie pracuje, uczy się i niby kręci dzień cały, to
jednak w gruncie jest próżniakiem.

WSCHÓD SŁOŃCA.

Świt!... Pierś ziemi sen kołysze —
Otulona w mgły i ciszę
Czeka noc końca.

Drzewa — wody — kwiaty drzemią
Sen na ziemi, mrok nad ziemią...
Słońca! słońca! słońca!

Wysrebrzała gwiazda świtu,
W kryształową toń błękitu
Skrzyła się i zgasła.

Poczerwieniał wschód... Doliną.
Rubinowe światła płyną,
Dnia letniego hasła.

Nagle wybiegł snop promieni,
Na milczącej wód przestrzeni
Zbudził ze snu fale...

Drżenie przeszło przez staw cały,
Jakby wzdłuż się posypały
Perły i opale.

Tchnęła ziemi pierś rozkoszą,
Senne kwiaty czoła wznoszą,
Drżą przebudzeń dreszczem...

Lecą światła im na głowę,
Złote — srebrne — purpurowe,
Brylantowym deszczem.

Kazimierz Gliński.



W MRÓWISKU.

Cudowna bajka.

(Dokończenie).

— Jaki ty braciszku, jesteś zapominalski — odpowiedziała jedna z mrówek. — Wszak to są jajeczka, które składają tu te mrówki ze skrzydełkami. Z tych jajeczek lęgną się beznogie czerwie, które następnie przemieniają się w podłużne poczwarki, a potem w mrówki. Ponieważ zaś dziś jest dzień pogodny, słońce grzeje, więc mrówki-pracownice wynoszą te jajka na powierzchnię ziemi, aby je słońce ogrzało, bo to dla nich jest dobrze. Gdy słońce przestanie grzać, mrówki znów poznoszą jajka, aby im nie zaszkodziła rosa i wilgoć.

Tak rozmawiając, doszedł Piotruś małym korytarzem do wierzchu mrowiska, gdzie tysiące mrówek było zajętych naprawą szkody, jaką Piotruś — chłopiec wyrządził gałęzią.

— No, braciszku, bierz się do roboty, a żwawo! — rzekła do Piotrusia ta z mrówek, która najwięcej z nim rozmawiała.

Chłopiec — mrówka, chcąc nie chcąc, musiał się jąć pracy. Za przykładem innych mrówek-pracownic znosił patyki, igły sosnowe, suche listki i podawał je koleżankom, które układały je pięknie i naprawiały zrujnowane przejścia. Czasem gdy patyk był za ciężki dla niego, przybiegały mu z pomocą inne mrówki i przy wspólnych siłach wciągano patyk na mrowisko.

Przy tej robocie najadł się Piotruś wstydu nie ma, bo musiał słuchać przykrych dla siebie rozmów mrówek.

— Jaki też ten chłopiec, który nasze mrowisko uszkodził, jest zły i głupi — mówiły mrówki między sobą. — Żadnej krzywdy mu nie zrobiliśmy i nikomu nie robimy, owszem przez niszczenie szkodliwych owadów i różnych zwierzęcych trupów, jesteśmy pożyteczne dla ludzi, o czym zapewne ten chłopiec nie wiedział. Prawda, że jest pewien gatunek owadów, podobnych do nas, zwanych przez ludzi termitami, które wielkie szkody wyrządzają ludziom w polach, ogrodach i mieszkaniach i są dla ludzi prawdziwą plagą egipską, ale my nie czynimy im wielkich szkód. Że tam czasem urządzimy sobie wyprawę do mieszkań ludzkich i spiżarni, to tylko po to, aby się pożywić ich zapasami żywności i chyba to tam nie będzie tak wielka szkoda, i stąd nie wynika, żeby nam takie szkody po mrowiskach robić, jak ten chłopiec zły. Żeby on wiedział, jak to się trzeba około tego napracować, to nie bawiłby się tak niemądrze.

Lecz wiedział już teraz Piotruś, jak smakuje ta mrowcza praca: zginał się pod ciężarem paty-

ków, nóżki go bolały i żałował bardzo swego uczynku.

Spracowany zlął z kopca i udał się w stronę jednego drzewa, chcąc chwilę pod nim odpocząć. Lecz zaledwie oddalił się cokolwiek od mrowiska, gdy nagle stanęła przed nim duża mrówka z ogromną głową i potężnymi szczękami. Mrówka ta stanęła przed Piotrusiem i nie pozwoliła mu ruszyć się dalej.

— Kto ty jesteś? — zapytał Piotruś mrówka.

— Kto jestem? Nie widzisz po mnie, że jestem jednym z żołnierzy, stojących na granicy naszego mrowiska i pilnujący, aby inne mrówki nie napadły na was pracujące i nie ukradły nam naszych poczwarek.

— A na co im wasze poczwarki? — zapytał Piotruś-mrowka.

— Jakto na co? A na cóż nam się przydadzą poczwarki z obcych mrowisk, na które napadamy? Wychowujemy sobie z nich robotnice i nasze niewolnice, które zmuszamy do wykonywania różnych robót. I ty przecież jesteś taką mrówką niewolnicą.

— Dlaczego nie pozwalasz mi odejść dalej od mrowiska? — zapytał Piotruś — chcę sobie na osobności odpocząć — dodał.

— Mrówkom po za granicę ich mrowiska nie wolno wychodzić, to powinieneś, mój braciszku, wiedzieć! — mówił żołnierz - mrówka. — I jeżeli się odważysz jeszcze troszkę dalej posunąć, to cię szczękami moimi nauczę posłuszeństwa — mówił dalej żołnierz-mrówka, poruszając groźnie potężnymi szczękami.

Piotruś smutny wrócił do mrowiska.

Odpocząwszy trochę, zabrał się dalej do pracy.

Niebawem szkoda w mrowisku przez niego uczyniona została naprawioną. Mrówki, rade z ukończenia pracy, ochoczo zbiegały stromeni ganeczka mi mrowiska do swych spiżarni na posiłek, który słusznie im się należał. Zapraszały też i Piotrusia, lecz on nie miał wcale ochoty do jedzenia.

Smutny pozostał prawie sam jeden na wierzchołku mrowiska. Przypomniawszy mu się dom, a w nim rodzice, mała siostrzyczka, piesek / burek, z którym tak często figlował; następnie stanęła mu przed oczami szkoła i towarzysze, wszyscy oni tam teraz weseli, może o tej porze jest pauza, więc wesoło się bawią, a on tu sam jeden wśród mrówek i nie człowiek, ale mrówka. Żał mu się zrobiło za dawnym życiem: pragnąłby teraz już uczyć się zawodu i pracować, jak wszyscy dobrzy i szlachetni ludzie. Żeby tylko mógł być jeszcze chłopcem!...

Zaledwie pomyślał to sobie, aż tu widzi, stoi nad nim Dziadek Leśny!

Staruszek wziął naszą mrówkę na dłoń, dotknął ją swoją laską i oto z mrówki stał się znów Pio-

truś chłopczykiem i nie słuchając już nawet tego, co mówił Leśny Dziadek, puścił się pędem do domu, przyrzekając sobie w duszy, nigdy już nie uciekać ze szkoły, aby go co gorszego nie spotkało.



ŻYCIE I PRZYGODY ŻABKI.



Według Brzezińskiego opowiedział F. Porąbka.

II. (Ciąg dalszy.)

Czytelnicy przypominają sobie opowiadanie żabki o jej pierwszych wrażeniach po urodzeniu się i o jej niefortunnej wycieczce do owego dołka, w którym o mało życia nie postradała. Dzięki jednak deszczowi szczęśliwie się wydostała z dołka i powróciła do stawu, gdzie też dłuższy czas przebywała, a o czym tak mi w dalszym ciągu opowiadała:

Wydobywszy się szczęśliwie z tego dołka, przepłynęłam z powrotem do stawu, skąd postanowiłam sobie usilnie więcej nigdzie nie odpływać. Nauczona przykrem doświadczeniem, przekonałam się, że nie każda ciekawość jest dobrą i że często zaspokojenie takowej pociąga za sobą bardzo przykre następstwa. Przygodę moją opowiedziałam towarzyszkom, aby im służyła za przestrożę. Czy wszystkie z niej skorzystały, powiedzieć nie umiem. Być może, jak to zwykle bywa, rozsądniejsze z moich siostrzyc skorzystały z mej przestrogi, nierozsądne zaś puściły ją mimo ucha i niejedna pewno później tego żałowała.

Rozradowana z towarzyszkami po dawnemu pływałam sobie w stawie.

Dni mijały jedne po drugich szybko, a z każdym dniem rosłyśmy, jak na drożdżach. A jakże nie miałyśmy rosnąć, kiedy po całych dniach nie miałyśmy nic do roboty, tylko bawić się, no i wyszukać sobie pożywienia. Z tem atoli nie było wielkiej trudności.

Gdy nam się jeść zachciało, poszukałyśmy sobie zgniłych listków i korzonków, których w wodzie było bardzo dużo, tak, że głodu nie zaznałam nigdy.

Mając obfitość pożywienia, a żadnej pracy, rosłyśmy szybko i codziennie śmieszniej wyglądałyśmy.

Głowy nam pogrubiały, brzuchy urosły i wydęły się jak banie, i każda z nas wyglądała, jakby wielka głowa z ogonem, i wszyscy nazywali nas "kijankami."

Gdyśmy już porosły większe, było nam coraz niebezpieczniej w stawie. Zewsząd bowiem zjawiały się jakieś dziwne potwory, które pożerały nas całymi gromadami. Ileż to małych, wesołych moich towarzyszek zjadły kaczki, ryby i inne wodne

owady! Mnie jednakże szczęście służyło i zawsze zdołałam wczas umknąć przed niebezpieczeństwem.

Raz, pamiętam, pływałam sobie swobodnie blisko brzegu, gdy nagle spostrzegłam przed sobą rozwartą i najeżoną ostremi zębami paszczę wielkiego szczupaka. Chwilkę tylko, a już znalazłabym śmierć w brzuchu tego żarłoka i niszczyciela w stawach, lecz na szczęście dość szybko udało mi się dać nurka głębiej i tym sposobem uniknąć śmierci. Odtąd byłam bardzo ostrożną i pilnie się oglądałam, czy gdzie nie widać jakiego nieprzyjaciela.

Tak żyjąc w stawie nie spostrzegłam nawet, jak zaczęłam się powoli zmieniać.

Razu jednego spostrzegłam, że z tyłu, koło ogona, wyrosły mi jakieś brodawki, które powiększały się codziennie, aż w końcu zmieniły się w małe, pletwowate łapki. Niedługo potem wyrosły mi podobne łapki i na przodzie.



Z prawej strony ikra żabia, otoczona galaretką; na lewo kijaneczki; na środku większa kijanka z ogonem, bez nóg. Dalej na lewo — kijanka z dwiema nogami; nad nią kijanka z ogonem i czterema nogami. Na lądzie na środku mała żabka z ogonkiem, na lewo żabka już bez ogonka. Na prawo — żabka dorosła łapiąca muchę.

Teraz dopiero spostrzegłam, że staję się coraz więcej podobną do tych dużych żab, które widziałam nad stawem i we wodzie,

Korciło mnie bardzo, żeby wyjść na brzeg i spróbować tych nowych łapek do chodzenia. Jednak z obawy nowej jakiej przygody nie śmiałam tego uczynić. Wreszcie, gdy zobaczyłam moje rówieśniczki przechadzające się po brzegu, odważyłam się i ja wyjść na brzeg.

Wyszukałam sobie miejsca, gdzie brzeg był niskim, i tam, choć z pewnym trudem, wygramoliłam się z wody, wlokąc za sobą długi swój ogon.

Co to za rozkosz była dla mnie oddychać tak czystym i świeżym powietrzem. Prawda, z początku, nieprzyzwyczajonej do tego, było mi trochę trudno oddychać, ale trwało to krótko i wnet przyzwyczałam się do powietrza.

Od tej pierwszej próby, która skończyła się bez żadnego przypadku, już coraz częściej wydostałam się z wody na brzeg, na którym wiele było moich towarzyszek i starych żab. Dziwiło mnie tylko to, że kiedy stare żaby były bez ogonów, ja musiałam swój włóczyć za sobą. Z radością jednak spostrzegłam, że i mój ogon codzień stawał się krótszym. Aż wreszcie pewnego dnia wyskoczyłam na brzeg zupełnie bez ogona. Ucieszyłam się z tego bardzo, bo teraz rzeczywiście zostałam już prawdziwą żabą.

(Ciąg dalszy nastąpi).

DWIE POTĘGI.

POWIEŚĆ Z CZASÓW DYOKLECYANA.
Przez Teresę Jadwigę.

(Ciąg dalszy).

Na ulcy pokazało się trzech mężczyzn dostojnie ubranych; szli oni w tym samym co i one kierunku; tuż za nimi niewolnicy, bogato przybrani, nieśli lektykę pełną przepychu.

Marcelin spostrzegł zdala zbliżającą się matkę, i na ten widok serce poczęło mu bić silniej, a ręka niosąca szkopek wapna tak zadrżała, że upuścił naczynie. Dozorca rozśmiał się z zadowolenia: pierwszy raz ten wykwinny robotnik, któremu zazdrościł powierzchowności ujmującej, popełnił coś zdrożnego. Przyskoczył natychmiast do niego i wznosił swój straszny bat do góry: świsnęły złowrogie rzemieńne paski.

W tej samej chwili z ulicy do term wiodącej dobiegł krzyk pełen bólu i rozpacz.

Niebawem wszystkie spojrzenia zwróciły się w tę stronę. Marcelin zbłądł i jęknął boleśnie.

Pewny, że młodzieniec dotkliwie uczył karę, dozorca pośpieszył w głąb ulicy, aby się przekonać co było powodem tego krzyku. Robotnicy także przerwali pracę.

Marcelin błady i drżący walczył ze sobą, aby nie zbiedz z rusztowania i nie pośpieszyć matce na pomoc. On jeden wiedział, co ten krzyk znaczył. Sylwia, ujrawszy, jakie katusze syn jej jedyny cierpi, krzyknęła najprzód boleśnie, a potem zemdlała.

Lena i Julia zajęły się trzeźwieniem nieszczęśliwej. Przechodnie zaczęli się koło nich gromadzić czyniąc różne domysły. Dwóch patrycyuszów przypatrywało się złośliwie.

Wtem nadszła niewolnica, niosąca bogatą lektykę.

— Stójcie! — dał się słyszeć głos niewieści.

I w tej chwili z okna lektyki wysunęła się głośnie pięknej kobiety w czarnym welonie.

— Co się tu stało? — zapytała.

Jeden z niewolników, poprzedzających lektykę, otworzył ją szybko.

Niebawem wysiadła z niej jakaś można patrycyuszka, w jedwabnej, powłóczyściej szacie żałobnej i zapytała:

— Kto zemdlał?

— Jakaś kobieta — objaśnił niewolnik.

Patrycyuszka zbliżyła się do Sylwii.

— Co tej niewieście? — zapytała, schylając się troskliwie nad nieszczęśliwą matką.

— Biedna, poznała wśród robotników syna swego, nad którym wisi właśnie bat dozorczy — odparła Lena, zapominając, że czyni niebezpieczne wyznanie.

Lecz na szczęście nikt z obecnych i dalej stojących nie zwrócił uwagi na jej odpowiedź.

Na twarzy patrycyuszki odmalowało się wielkie współczucie.

— Umieścić ją w mojej lektyce — rozkazała — mam biegłego lekarza w domu, powierzę chorą jego opiece.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ZAGADKI.

SZARADA.

Pierwsze z drugim, gdy silnie stoją obok siebie,
Wiele pożytku ludziom przynoszą w potrzebie.
Trzecie z pierwszym nam rodzaj błiesiady przedstawia,
Która gromadzi gości, lecz ich nie zabawia.
Drugie z czwartym to rzeka, co płynąc wspaniale
W ocean lodowaty wlewa mętne fale.
Wszystko wraz — to kraina, gdzie każdy zakątek
Jest dla serc chrześcijańskich skarbnicą pamiętek.

Łamigłówka kratkowa.

Ułożyć z poniżej podanych sylab sześć wyrazów sześciogłoskowych tak, aby pierwsza litera pierwszego wyrazu, druga drugiego itd. utworzyły nazwę zwierzęcia.

Sylaby: Ty - giel - kus - To - ra - Ja - siąc - Tur - masz - zy - dzia - fa - za.

Znaczenie wyrazów: część okrętu, liczba na czwartym miejscu, drogi kamień, imię męskie, zwierzę i imię męskie.

Rozwiązanie zagadki z nr. 22.

Szarada: Ja - Now.

Łamigłówka kratkowa.

P o z n a ń
p O c z t a
r o L n i k
b a l s a m
g ł o s K a
k a r e t A

Figiel: Przemienić C na M.

Dobre rozw. szarady i łam. nadesłali: A. Srokówna, P. Bielarczówna, An. Gherkówna, Leok. Jaśkowiakówna, F. Linowiecka, Jan Sroka i H. Klawiterzanka.

Łamigł. rozwiązały: St. Smorowska, Ag. Rychłowska, Wł. Michalakówna, St. Szczepańska, Aniela Ługowska, Klara Szabelska i A. Redlarezykówna.

Z NASZEJ KORESPONENCYI.

Chicago, dnia 6 czerwca 1907.

Kochany Przyjacielu!

Serdecznie dziękuję Ci za Twą życzliwość dla mnie. Chcąc okazać Ci wdzięczność ku Tobie, będę pisywał częściej. Nauka szkolna jutro się zakończy. Zakończy się tego roku wcześniej niż zawsze, ponieważ szkoła się spaliła musimy się więc w kościele uczyć, a że całopcy i dziewczęta, przystępujący do Komunii św. ćwiczą się w kościele to inni znów, nie mogą uczyć się lekcji. Jutro, to przyjdziemy na Mszę św. o pół do dziewiątej. Zapewne Wiel. Ojciec Ładoń, rektor naszej szkoły będzie miał naukę przedwakacyjną. Jeżeli wyjadę gdzie na wakacje, to będę Ci kochany Przyjacielu opisywał, jak je spędzam. Liścik ten piszę do werandzie zimno i ciemno się robi. Muszę wejść do pokoju.

Zawsze twój
Słowik.

West Hammond, Ind. 30go maja 1907

Szanowna Redakcyo!

Zalążając rozwiązanie zadań przesyłam również łamigłówkę od siebie. Szanowna Redakcyo ciekawa co się nam dzieciom w Macierzy najlepiej podoba, więc i ja chciałabym na to pytanie odpowiedzieć lecz to troszkę trudno, bo w tej gazecie wszystko tak piękne, cudne i bogate, że nie wiadomo co piękniejsze czy wierszyki naszego słowika amerykańskiego p. Wachtla, czy historie naukowe, czy bajki prześlizne? Prócz tego podoba mi się bardzo, jak Szanowna Redakcyo wszystkie nazwiska polskich dziewczynek przekrzątała i naporządza, bo to nam znowu przypomina, jak obfity i jak bogaty jest nasz kochany język polski, że już z samej końcówki wyrazu poznać można, czy to mąż, czy niewiasta, czy też młoda jeszcze nie dorosła osobka. Żal mi mocno, iż jeszcze nie mogę tyle zarobić na sobie, aby całkiem ciałem i duszą wstąpić do Macierzy. Ciężkie bowiem obecne czasy i niewdzięczne stosunki, gdy teraz prosty robotnik 3 razy tyle zarabia co człowiek który całe swe życie strwoił na nauce, a teraz w głowę zachodzi jak tu dociągnąć od miesiąca do miesiąca. Mając jednak nadzieję, że te straszne stosunki kiedyś się zmienią w tej przybranej ojczyźnie, zostaję z uszanowaniem

Helena Klawitterzanka, uczennica 6tej klasy w W. Mammond.

ODPOWIEDZI.

Słowikowi. Przyjacielu dziękuję za pamięć i obietnicę częstszego pisania. Szczególniej ciekawym jest, gdzie też Słowik pofrunie na wakacje, i jak je spędzi. Leć słowiczku i wśród pól choć nie tak pięknych jak nasze polskie, nuć i dzwoń wesoło piosnkę, odpoczywaj po rocznej pracy. Baw się wesoło i nie zapominaj obietnicy.

Helenie Klawit. Piękny twój liścik, Helenko, szczególnie podoba się nam to, że już rozumiesz piękność i bogactwo naszego języka. Nie wszystkie jednak panienki tak myślą. Wiele z nich myśli, że Kasja Gajzer brzmi ładniej niż Kasja Gajzerówna, jak powinno być. Dziwi nas tylko, Helenko, że już z VI klasie będąc, tak się uskarżasz na ciężkie czasy... Zagadki nie możemy umieścić, ponieważ takiego pisarza niema w Ameryce. Do łamigłówek i zagadek trzeba brać imiona i nazwiska ludzi sławnych albo na cały świat, albo w swoim narodzie. Skargę na nieregularne posyłanie M. P. podaliśmy Admin. Pisz częściej.

Macierz Polska w Stanach Zjednoczonych

AMERYKI PÓŁNOCNEJ,

p. o. Najśw. Maryi Panny Królowej Korony Polskiej

Organizacya łącząca młodzież polską obojga płci w pracach naukowych, patriotycznych i bratniej pomocy dla podniesienia ducha moralności i dobrobytu w społeczeństwie a szczególnie między młodzieżą polską.

Założona dnia 1go października, 1897 roku.

Inkorporowana przez Stan Illinois, dnia 4go września, 1903 r

Obdarzona Błogosławieństwem Ojca św., Piusa X, dnia 30-go czerwca, 1906 r.

BIURO GENERALNE:

141-143 W. Division St.

Chicago, Illinois

ZARZĄD GŁÓWNY:

KS. FRANCISZEK GORDON, C. R., Moderator; JULIAN SZCZEPAŃSKI Prezes; AGNIESZKA NERING, I Wice-prezesa; MAKSYMILIAN BROCHOCKI, II Wice-prezes; WINCENTY J. JÓZWIAKOWSKI Sekretarz Główny; WEADYSŁAW SZTANKA, Skarbnik; PAWEŁ P. KUCHARSKI, Dyrektor; JULIAN J. NEJMAN, Dyrektor; FELIKS AUGUSTYNOWICZ, Dyrektor; FRANCISZEK SIATKOWSKI, I Marszałek; JAN SZPEKOWSKI, II Marszałek.

KS. FELIKS ŁADOŃ, Redaktor; DR. BOLESŁAW KLARKOWSKI Lekarz Główny; LUDWIK JANKOWSKI, Dyrygent Muzyki i Śpiewu; TEOFIL GORDON, Asystent Sekretarza Głównego; IGNACY CIESIELSKI, Bibliotekarz i Zarządca Klubu; N. L. PIOTROWSKI Doradca Prawny.

Posiedzenia Zarządu Głównego odbywają się w 2gi wtorek miesiąca wieczorem.

Godziny ofisowe Sekretarza i Skarbnika Głównego w Biurze Generalnem:

W każdy poniedziałek i w każdy piątek od godziny 7-mej do 9-tej wieczorem.

Klub Macierzy Polskiej, dla członków organizacyi otwarty co wieczór, od godziny 7-mej do 10-tej. W niedziele, od godziny 3-ciej popołudniu.

Do Macierzy Polskiej może należeć każdy Polak lub Polka religii rzymsko - katolickiej, liczący lub licząca mniej niż 45 lat wieku swego.

Nowe oddziały Macierzy Polskiej formować się mogą za porozumieniem się ze Zarządem Głównym Macierzy Polskiej. Osoby chcące się zająć organizowaniem nowego oddziału muszą otrzymać na to pisemne pozwolenie od Zarządu Głównego Macierzy Polskiej, który udzieli odpowiednich instrukcyi, a po uformowaniu oddziału i załatwieniu formalności, wyda dyplom, na mocy którego oddział otrzyma prawa i przywileje organizacyi.

Każdy nowo-wstępujący składa przed formalnym złożeniem przysięgi następujące opłaty: wstępne stosownie do wieku, za odznaki, za kwitaryusz, za konstytucyę i podatek miesięczny regularny, za czas od chwili przyjęcia go na posiedzeniu przez głosowanie. Opłaty wstępne są następujące: do lat 15 nieskończonych 50c.; 16: 60c.; 17: 70c.; 18: 80c.; 19: 90c.; 20: \$1.00; 21: \$1.10; 22: \$1.20; 23: \$1.30; 24: \$1.30; 24: \$1.40; 25: \$1.50; 26: \$1.60; 27: \$1.70; 28: \$1.80; 29: \$1.90; 30: \$2.00; 31: \$2.20; 32: \$2.40; 33: \$2.60; 34: \$2.80; 35: \$3.00; 36: \$3.20; 37: \$3.40; 38: \$3.60; 39: \$3.80; 40: \$4.00; 41: \$4.40; 42: \$4.80; 43: \$5.20; 44: \$5.60; 45 nieskończonych: \$6.00.

Kwitaryusz 10c. Konstytucyja 10c. Odznaki dla mężczyzn \$1.00. Odznaki dla pań \$1.25. Podatki: regularnie co miesiąc na fundusz obrotowy 10c., assesment regularny na pośmiertne co miesiąc 10 centów.

Assesment nadzwyczajny nakłada się stosownie do wypadków śmierci obliczając i rozkładając sumę wypłacić się mającą, na równy wydatku na pośmiertne, na każdego członka z doliczeniem jednego centa do każdego wypadku.

Oddziały podwładne mają prawo ustanawiać dla siebie wsparcie w chorobie i w tym celu ustanawiać dla siebie podatki.

W przypadku śmierci członka Macierzy Polska płaci spadkobiercom za każdy miesiąc przynależności członka do Macierzy Polskiej i opłacenie wszystkich podatków, sumę \$10.00, stopniując aż do wysokości \$50.00 biorąc jako podstawę w obliczaniu wysokości pośmiertnego opłacone assesmentu miesięcznego.

Podajcie Nowe Adresa.

Członkowie Macierzy Polskiej mają niezwłocznie uwiadomić Administrację Macierzy Polskiej o każdej zmianie swego adresu, inaczej nie będą otrzymywali "Macierzy" regularnie.

Zmianę adresu należy przesiać na karcie pocztowej, podając dokładnie imię i nazwisko, stary adres i nowy, numer domu, ulicę i miasto, oraz dołączyć nazwisko Oddziału i numer swej książeczki podatkowej. Kartkę adresować:

MACIERZ POLSKA
141-143 W. Division St. CHICAGO.

Poczta upomina się o nowe adresy następujących:

Oddział I.

Nr. 59. W. Mikołajewski.
Nr. 84. A. Modrzejewski.
Nr. 113 Józ. Dolatowski.

Oddział II.

Nr. 131. Fr. Bieszka.
Nr. 124. Stan. Kuliński.

Oddział III.

Nr. 5. Piotr Sentowski.
Nr. 48. Jan Galiński
Nr. 112 Józ. Krawiecki
Nr. 135 F. Szymkowski

Oddział IV.

Nr. 139. Stan. Lipiński.

Oddział V.

Nr. 79. Józef Jeleskiński.
Nr. 80. Franciszek Gramza.
Nr. 85. Paweł Dorsch.
Nr. 94. Franciszek Ficht.
Nr. 100. Józef Rządowski.
Nr. 107. Józef Murawski.
Nr. 134. Jan Łepok.
Nr. 141. Ignacy Grenwald.
Nr. 151. Bolesław Roda.
Nr. 166. Idzi Bartnik.
Nr. 183. Franciszek Grzonkowski
Nr. 184. Michał Polek.

Oddział VI.

Nr. 132. L. Szarmański

Oddział VII.

Nr. 23. Anast. Czepek
Nr. 31. Winc. Młodzikowski.
Nr. 101. Stef. Ceglarski

Oddział VIII.

Nr. 51. Jan Fudema.
Nr. 67. Michał Gadacz.
Nr. 80. Wład. Michela

Nr. 95. Jan Wolff.

Nr. 99. Franc. Wolff.

Nr. 113. Roman Gadacz

Oddział IX.

Nr. 10 Salomea Kiecal
Nr. 145. Pelagia Janowiak
Nr. 189 Anast. Pełkowska.
Nr. 240. Helena Moza.

Oddział XII.

Nr. 5. Franc. Brzozowska.
Nr. 6. Stanisława Dryll.
Nr. 14. Marya Kuzyusz.
Nr. 131. Ewa Socka.
Nr. 140. Marta Bieszka.
Nr. 152. Agn. Guzikowska.
Nr. 154. Stan. Tobaczka.
Nr. 174. Weronika Dryll.
Nr. 194. Franciszka Laska.
Nr. 219. Kar. Kijewska.
Nr. 220 Antonina Gort.
Nr. 146 Monika Szczepińska
Nr. 143. K. Zawadzki.

Oddział XIV.

Nr. 26. Fran. Skotnicki.
Nr. 37 Józef Kumka,
Nr. 44. J. Bakanowicz.
Nr. 56. Ant. Jarzyna.
Nr. 79. Józef Jakubek.
Nr. 83. T. Gnaciński.
Nr. 94. Jan Kabaciński.

Oddział XV.

Nr. 79 Marya Przybek

Oddział XVIII.

Nr. 33. Marya Kõnwińska

Oddział XIX.

Nr. 7 Broniśł. Górniak
Nr. 34 Edwarda Rickowska
Nr. 43. Paulina Mroczek.
Nr. 44 F. Rickowska,

Urzędowe zawiadomienie.

Niniejszem zawiadamiam szanownych urzędników i członków Macierzy Polskiej, że w miesiącu czerwcu b.r. nie będzie nadzwyczajnego podatku na pośmiertne a zatem opłaty do Kasy Głównej w miesiącu czerwcu b.r. wynosić będą 20 centów.

W. J. Józwiakowski,
21-V 07 Sekr. Główn.

Nadzwyczajny podatek na Pośmiertne.

Cyrkularz No. 26.

Na miesiąc Lipiec r. 1907 wynoszący 30 centów.

Donosimy niniejszem, że na miesiąc Lipiec, roku 1907, przypada podatek nr. 26 na wszystkich członków i członkinie Macierzy Polskiej, przyjętych do dnia 1go Maja 1907 r., wynoszący trzydzieści centów, na pokrycie wypadku pośmiertnego: Nr. 40 ś.p. Piotr Wałaszkiwicz Oddz. 14. suma \$450.00.

Liczba członków i członkiń opodatkowanych 1576.

Zwracamy uwagę, że nadzwyczajny podatek na pośmiertne ma pierwszeństwo przed wszelkimi innymi podatkami i musi być nie zwłocznie skolektowany i wpłacony do Kasy Głównej.

Wszystkie podatki do Kasy Gł. w miesiącu Lipcu, 1907 r. razem wynosić będą 50 centów.

Z bratnim pozdrowieniem
Julian Szczepański, prezes.
Win. Józwiakowski, Sekretarz.
Chicago, dnia 12go czerwca 1907.



Ś. p.

Piotr Wałaszkiwicz,

Członek Nr. 39 w Oddziale XIV, Najśw. Imienia Maryi, w parafii św. Stanisława Kostki, przyjęty do Macierzy Polskiej, dnia 20go sierpnia, 1903 roku, umarł dnia 29go maja, 1907 roku, 1 czc lat 17.

ODPOWIEDZI.

(Dokończenie).

„TO MOJE”.

Pewnego ładnego poranku Kazio i Władzio, poszli na przechadzkę. Niedaleko jednej bramy zobaczyli leżący pieniądz. Na ten widok rzucili się na ziemię i zaczęli się targać i szamotać, gdyż każdy chciał pieniądz dostać. Ale skąd znalazł się tu ten pieniądz? Widocznie jakiś człowiek musiał tedy przechodzić i upuścić go. Gdyby byli rozsądnymi chłopcami byłiby podnieśli pieniądz i zanieśli go rodzicom lub proboszczowi, który go zgubił, lub

DZIENNIK CHICAGOSKI

NAJSTARSZE I
NAJPOPULARNIEJSZE DZIENNE
PISMO POLSKIE W AMERYCE.

WYCHODZI CODZIENNIE
z wyjątkiem niedziel i świąt,
o 8miu wielkich stronicach.

Podaje dziennie wszystkie wiadomości telegraficzne z całego świata.

Na żądanie posyła trzy
egzemplarze na okaz.

Cena na prowincyi:
\$3.00 rocznie, \$1.50 na pół roku,
75c na kwartał, 25c na miesiąc.

W mieście Chicago:

45c miesięcznie.

U roznosicieli egzemplarz 1c.

Pieniądze można przysyłać przez
Money Order lub w jednocentowych
znaczkach pocztowych.

Drukarnia Dziennika Chicagoskiego

wykonuje wszelkie prace w zakresie
drukarskim wchodzące, szybko,
gustownie i tanio.

Księgarnia

Dziennika Chicagoskiego

ma na składzie książki wszelkiego
rodzaju.—Katalogi na żądanie.

Wszelkie zamówienia należy
przesyłać pod adresem:

The Polish Publishing Co.,
141-143 West Division Street,
CHICAGO.

"Gazeta Polska w Chicago"

najstarsze czasopismo polskie w Ameryce

założone w roku 1873.

PRENUMERATA ROCZNA \$2.

Najstarsza Księgarnia Polska w Ameryce

zaopatrzona w książki wszelkiego
rodzaju. — Katalogi wysyłamy
darmo na żądanie.

Najstarsza i największa Intro-
ligatornia Polska w Ameryce,
wykonująca wszelkie prace w za-
kresie introligatorskim wchodzące.

Po wszelkie szczegóły piszcie pod adresem

W. Dyniewicz,
532 Noble ul., Chicago, Ill.

na jakiś dobroczynny cel. Cóż im z tego, że mają pieniądze. Gdyby go oddali zapewne rodzice by się ucieszyli, że mają takich szczerych synków.

Floryan Schulfer, uczeń szkoły
św. Stanisława Kostki w Chi-
cago, Ill.

Opis obrazka.

„TO MOJE”.

Było to na początku lata, żyto bujnie zwieszało się na dół. A tu i tam zbierała wieśniaczka kłosa zboża. Na piaszczystej ziemi bawiło się dwóch wiejskich maćków. Naraz, zobaczyli dwóch jadących na koniach mężczyzn. Ci dwaj jeźdźcy podjechali bliżej do nich i rzucili im srebrny pieniądz. Malcy rzucili się, aby go czemprędzej dostać: jeden drugiego szarpał, to za włosy, to za uszy. Kto wyszedł z tej małej wojny zwycięsko, tego odgadnąć nie mogę.

Klara Wieczorkówna, uczeń IV
klasy ze szkoły św. Stanisława
wa Kostki.

„TO MOJE”.

Razu pewnego dwaj przyjaciele, Józio i Adaś spostrzegli pieniądz przed bramą gospody. Adaś spostrzegłszy go, rzucił się za nim, co także uczynił i Józio. Czubił się za włosy, bo każdy chciał go mieć. Widząc to staruszek, idący w tyle za nimi, tak do nich rzekł: „Chłopcy jest to do nich powiedział: „Chłopcy jest to bardzo niegrzecznie. Powinniście grzecznie podnieść, podzielić się nim, i by łaby zgoda.” To mówiąc, rozdzielił pieniądz. Chłopcy rozradowani, że mają kilka pieniędzy podziękowali, i odeszli.

Alojzy Narloch, uczeń szkoły św.
Stanisława Kostki.

„TO MOJE”.

Było to w czerwcu w ładnym dniu gdy wszystko wydaje plony. Franek i Alojzy poszli do boru, aby tam zbierać kwiaty i pobawić się. Pobawili się ładnie, aż był czas iść do domu. Już każdy wracał z pola i od pracy, aby sobie odpocząć. Franek i Alojzy powracali spokojnie do domu. Przy bramie spostrzegli pieniądz, leżący przy drzewie. Franek i Alojzy skoczyli, aby podnieść pieniądz z krzykiem „To moje ja to pierwszy widziałem”. Powalili się na ziemię i zaczęli się czubić i bić o pieniądz. Zły jest to przykład, ponieważ powinni podnieść i rozdzielić się jak bracia. Powinniśmy zawsze żyć w zgodzie i pomagać jeden drugiemu wzajemnie.

Kazimierz Kwasigroch, uczeń
szkoły św. Stanisława Kostki.

Lecznica Krakowska,

576 Milwaukee ave., na piątym.

Leczenie: Gorączką powietrzem, Wibracją, Elektryką, Masowaniem, Gimnastyką, Hydroterapią, Suggestyą, Kąpielami słobowymi i mineralnymi.

Władysław Krupa,

Telefon: Polk 1030.

Właściciel Zakładu.

Spółka Młodzieży Polskiej

poleca Szanownej Publiczności
swoją wielki SKŁAD OBUWIA
pod firmą

‘The Grand Shoe Co.’

685 Milwaukee ave.,
pomiędzy Division i Ashland ul.

W tym składzie sprzedaje się trzewiki modne i trwałe dla mężczyzn, dam, młodzieży i dzieci po cenach umiarkowanych.



JÓZEF KORZENIEWSKI,

Przedsiębiorca pogrzebowy
i balsamator.

Wypożycza powozy na pogrzeby, charny, i t. p.

318 N. Carpenter ulica.

Telefon Monroe 648.

Otwarte w dzień i w nocy.

Fotografie!

Wykonujemy w najnowszym stylu i najmodniejszych pozycjach. Ślubne fotografie wykonujemy z wielką akuracją; nawet w dni pochmurne i deszczowe wykonujemy fotografie pod gwarancją. Jedyna galeria, która posiada światło Rembelta. Ceny niższe dla grup, towarzystw i dzieci.

Extra dla nowożeńców!

Dajemy jako prezent piękny portret wielkości 16x20.

St. Adamkiewicz & Co.,

właściciele zakładu fotograficznego

AMERICAN PHOTO ART STUDIO,

685 Milwaukee Avenue,

— pomiędzy Augusta i Noble ulicami. —

FRANK KLAJDA

Ciesla, Budowniczy i Kontraktor.

Wykonuje wszelkie roboty szybko,
starannie i po bardzo niskich cenach.

595 Dickson ul. Tel. Polk 225

OGŁASZAJCIE SIĘ
w „MACIERZY POLSKIEJ”.

NAGRODY

— dla —

Członków i Członkiń
pracujących nad
powiększeniem szere-
gów Macierzy Polskiej.

Nagroda I-sza:

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Dla pań i dla mężczyzn.)

Ten wspaniały szczerzoty medal, do noszenia na piersi lub też jako broszka, z pięknie rytowanym napisem "Hołd zasłudze" na przodzie, a nazwiskiem odznaczonej lub odznaczonego na odwrotnej stronie. Ozdobna pamiątka na całe życie, którą każdy z dumą nosić będzie.

Za 10 nowych członków lub
członkiń.



(Wyłącznie dla mężczyzn).

Ten elegancki, szczerzoty

medal z naszym godłem, w formie bryloka do zegarka, z nazwiskiem odznaczonego rytowanym na odwrotnej stronie. — Rzecz piękna, cenna i trwała, która każdemu się spodoba.

Nagroda II-ga:

Za 5 nowych członków lub członkiń.



Sliczny, szczerzoty oznak honorowy dla wszystkich członków, do noszenia na piersi, na klapie surduta, lub jako broszka, zawsze i wszędzie.

Nagroda III-gia:

50 centów

Za każdego nowego członka lub nową członkinię Macierzy Polskiej.

Kto już ma oznak honorowy lub też złoty medal, albo woli gotówkę raczej niż pamiątki, ten lub ta mogą zarobić sobie 50 centów za każdego członka wprowadzonego do Macierzy Polskiej.

Po najlepszych szczerzo - złote ślubne obrączki idźcie do jedyne polskiego składu zegarmistrzowskiego na Milwaukee ave.—do

M. Wojteckiego,

677 Milwaukee ave.

Telefon Monroe 1298.
JEŻELI CHCECIE
kupić lub sprzedać property, grunt lub farmę, albo pożyczyc pieniądze na budowę lub zakupno, to zgłście się do nas my wam najlepiej justujemy

A. J. Kowalski & Sons,
625 Noble ul., Chicago.
JAN KOWALSKI,
agent ubezpieczenia od ognia członek Fire Underwriters Association.
Asekurujemy od ognia w najlepszych kompaniach. Wyrabiamy wszelkie papiery legalne.

Artystyczne Grenowane i Dekorowanie Freskiem i Tapetami
MAX BROCHOCKI,
Malarz i Dekorator.
Wykonuje wszelkie roboty w zakresie malarski wchodzące.
595 Holt Ave., - CHICAGO.

Pierwszy Polski Zakład
INTROLIGATORSKI,
812-14 MILWAUKEE AV., róg HADDON,
CHICAGO, ILL.
podejmuje wszelkie oprawy książek, to jest nakłady całe lub pojedyncze, jako to: książki biblioteczne, do nabożeństwa, nauki, książki szkolne i t. d. po cenach umiarkowanych. Każda robota wykonana w naszej pracowni będzie gustowna i trwała, za co ręczymy naszym klientom.

OLSZOWY I SPÓŁKA,
812-814 Milwaukee Ave.
CHICAGO, ILL.

N. L. PIOTROWSKI
ADWOKAT.
Praktykuje we wszystkich sądach.
Ofis: 59 Clark ul., róg Randolph
Pókoj 307, 3cie piętro. Tel. Central 608.
Wieczorem 605 Noble ul. Tel. Monroe 2427
Mieszk. 80 Humboldt Blvd. Tel. Humboldt 1864

Ogłaszajcie się w
Macierzy Polskiej.

WEST SIDERS BE WISE

Why pay big prices to build Tunnels and Skyscrapers? You can save money and improve the West Side by Buying at Home. Get the Union Label. Good Clothes.

THE ARMITAGE
Milwaukee & Armitage Aves.